

Przełożyła Kinga Piotrowiak-Junkiert

Literat versus „niespodzianka”. Rzut oka na Danilo Kiša

Pewne stare motto:

Anegdota. Na jednej z konferencji o literaturze zamówiony dla mnie tłumacz bardzo dobrze znał hiszpański, co było o tyle istotne, że mówiono tam po hiszpańsku, ale nie miał najmniejszego pojęcia o literaturze, tak jak ja, powiedzmy, o hodowli krów. Referent musiał powiedzieć coś wesołego, bo ludzie dookoła pokładali się ze śmiechu. Co powiedział? – pytam. Niech pan poczeka, teraz się skupiam, może później. Słucham dalej, coś o Kafce i cha, cha, cha. Co powiedział? Może później. I tak do końca. Wittgenstein, Camus – i niezahamowane, orgiastyczne rzenie. Brawa, cisza, w oczekiwaniu patrzę na tłumacza, była to młoda studentka, która z surowością i rodzajem nagany powiedziała: Tak. Myślę, że mówił o literaturze.

Magnificencjo.

Magnificencjo i dłuższe milczenie.

Od dawna,

jeśli nie od wczesnych lat dzieciństwa, czekam na tę chwilę

(dłuższe milczenie, podczas którego opowiem, jak się sprawy mają: tak mianowicie, że zaproszono mnie, bym jesienią 2011 roku pojawił się na uniwersytecie kolońskim, w charakterze tak zwanego literata; a co to takiego – zaraz wyniknie z tekstu; w ramach swojego zadania musiałem poprowadzić wykład, który jak niedługo się okaże, ze zrozumiałych względów jest napisany pod niemieckie, kolońskie uszy),
żeby wreszcie mógł rozpocząć tekst w następujący sposób:

Magnificencjo.

(Po węgiersku brzmi to mniej oficjalnie, po prostu: „Szanowny Panie Rektorze!”, chociaż moglibyśmy go ciut unieszczęśliwić tą „magnificencją”).

Wyobrażam sobie, że stoję w auli uniwersyteckiej,

cisza, skupienie, w końcu jesteśmy w Köln,

i wtedy!

niespodziewanie, bez przygotowania, niepowstrzymanie

wrywa mi się ta „magnificencja”.

Oczywiście z wykrzyknikiem!

Jakby mały wiosenny kwiatek wyskoczył nagle spod ziemi.
Albo – jak to napisał mój ojciec
w swojej kiczowatej, ale pełnej dobrych zamiarów pracy, którą odrobił za mnie,
jeszcze w odległych czasach gimnazjum:
„białe główki przebiśnigów, niczym lance, przeszły butwiejący pancerz opadłego
listowia”.

Nie jest prawdą, że nie umiałem pisać,
że wtedy, dawniej, nie umiałem pisać,
umiałem, jakże miałbym nie umieć;
wtedy umiałem jeszcze wszystko,
co pokazują niezbité dowody:
miałem dobre oceny nawet z gimnastyki;
właśnie wtedy tylko pisanie, nieoczekiwanie, przysparzało mi problemów,
pisanie było najważniejszą cechą esencjalizmu, jego problematyzacją.
I tak też zostało.

Magnificencjo,
i najchętniej na tym bym poprzestał,
skoro stoję tu, w pełnej przepychu auli uniwersyteckiej,
nie umiem być bardziej uroczyści, może osiągnąłbym wyższy poziom, rozpoczynając od
słowa
„Goethe”,
ale potem trudno jest kontynuować.
Właściwie należałoby zacząć na niższym poziomie. Albo iść za ciosem.
Najpierw jednak musimy się cofnąć.

Kiedy pewnej wiosny,
kiedy pewnej wiosny Péter Nádas,
kiedy pewnej wiosny mój przyjaciel Péter Nádas –
Stop! Zatrzymajmy się!
Musimy się tutaj zatrzymać, bo albo bardzo poważnie traktuję słowo
„przyjaciel”
i przez to od razu wymyka nam się wypowiedź,
która sama jeszcze nie wie, o czym będzie,
albo
używam tego słowa wyłącznie formalnie, jako znaku,
więc teraz unikam go przez podenerwowanie,
a tekst może pokłusować sobie dalej;
chorowita szkapa mojego tekstu
może radośnie pokłusować dalej,
choć mogłaby zabrać ze sobą ciężar tej wątpliwości i pytanie:

– niczym zarazę –
dlaczego zatem,
dlaczego ważna była przyjaźń z Péterem Nádasem?
Mówię o nim jako przyjacielu. Na to pytanie oczywiście mógłbym odpowiedzieć, ale
teraz tego nie zrobię,
raczej, jak mam to w zwyczaju, wrócę do głównego zdania.
Bo, jak mam to w zwyczaju, odbiegłem od tematu,
bo mój tekst jest chorowitą szkapą, która nie paraduje w luźnej, hiszpańskiej
upręży
– sztuka ujeżdżania bez dobrowolnej współpracy samego konia jest niewyobrazalna,
jeździec musi wciążyć na nowo
sprawdzać swoją więź z koniem i pewnego wieczoru na niego wskoczyć;
przy pierwszym okrążeniu błąd leży nie po stronie jeźdźcy, ale konia;
trzeba nadmienić, że cudowny ruch koni andaluzyjskich
najlepiej widać w wieczornym świetle lub gdy
wichry historii wywiewają jeźdźcę, konia, ale też i całą architekturę, niestety –
niechaj się już wabi Rosynant, skoro jego imię, rzecz jasna banalne,
jest chwytem historycznoliterackim,
choć chorowity Rosynant mojego tekstu
kręci się „wte i wewte” jak motyl albo chaotyczny górski potok albo zataczający się
pijaczyna,
słowem,
Péter Nádas napisał ostatnio swój esej wierszem,
co jest dobrym pomysłem,
co jest według niego dobrym pomysłem,
co według mojego przyjaciela jest dobrym pomysłem,
ponieważ
przez samą tylko formę osiąga takie możliwości, jak w żadnej innej;
ani przez myślenie, ani autorskie decyzje, ani pragnienie, ani wolę, li tylko poprzez
formę,
co pojawia się u niego jako autorefleksyjność tekstowa oraz niezależny od niej
humor
czy też trudne do określenia „coś” pomiędzy humorem a ironią,
kiedy więc miał wykład wiosną, na jednym z budapeszteńskich uniwersytetów,
słuchałem go z wielkim entuzjazmem i powiedziałem mu potem,
jaka to jest dobra forma,
i hamując swoje przesadne rozentuzjazmowanie, bo mój entuzjazm lubi się panoszyć,
dodałem, że też zacznę tak pisać;
tak
jak w tej chwili, czyli powiedzmy, łamiąc zdanie na poetyckie wersy;
pokiwał głową

jakby wiedział coś, *in concreto* wszystko,
nie, to tylko małe dokazywanie z mojej strony, widziałem, że po prostu się ucieszył,
z tej mojej radości;
tak go to rozbawiło, że szturchnął mnie z wyższością: tak czy owak, ty tak nie umiesz.
No pewnie, że nie umiem! Krzyknąłem wyzwolony,
wykrzyknął aktor grający mnie samego, no pewnie, że nie,
przecież właśnie dlatego cała ta sprawa jest możliwa!

Ja,
tutaj to „ja” napisane jest w rękopisie w osobnym wersie, jest samotne,
staram się, starałem się je w ten sposób podkreślić,
i nazwać ten podział „formą wierszowaną Nádasa”,
ale równocześnie to „ja”, zapisane w osobnym wersie, będzie od razu cytatem
z Gombrowicza,
może przypomnijmy, że początek jego dziennika był taki:
poniedziałek: ja, wtorek: ja, środa: ja, i później taki sam był czwartek:
ja,
cóż, sam zwykłem mawiać, że pisarz jest ostatecznie fundamentalistą, ponieważ jest
człowiekiem „czegoś”,
bo nie ma wyboru, ponieważ *per definitionem* jest człowiekiem języka,
swojego idiolektu, ojczystego języka [*Muttersprache*],
względnie języka, w którym pisze.
Bo nie jest do końca pewne, że ma matkę [*Mutter*].
Nie może zmieniać języków wedle upodobania, nawet wtedy, gdy jakiś inny język
w danym miejscu,
byłby bardziej funkcjonalny;
przeciwnie,
praca pisarska zaczyna się w tych miejscach, tam,
gdzie z jakiegoś powodu język jest niepewny,
gdzie nie ma właściwego rozwiązanie.
Ach, jesteśmy zamknięci w więzieniu pojedynczego języka, w jego nieskończoności
i ograniczoności.
Jeśli,
i znowu było to w osobnym wersie,
to zresztą też,
jeśli przypuścimy, że Bóg istnieje i przypuścimy, że po prostu istnieje,
to
też mówi, albo co trudno wystawić, pisze,
w węgierskim jest to na przykład gra słów, „der Herr schreibt”, u nas brzmi: „Úr ír”,
zatem kolega byłby, jak miemam, zdolnym kolegą,
agnus Dei, qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem,

ale nie idźmy dalej tropem tej arogancji,
słowem, Bóg pisze, czyta, mówi,
ale
właściwie w jakim języku?
Śmiesznie byłoby przyjąć, że na przykład mówi po niemiecku,
bo niby dlaczego miałby właśnie to robić po niemiecku
(i tutaj niech będzie mi wolno powiedzieć, wedle mojego zwyczaju, po węgiersku:
jak dobrze jest mówić po węgiersku, za Chiny nikt nie wie;
poczucie zadowolenia trochę słabnie, gdy wypowiadamy te przypuszczenia na Węgrzech),
bo w ten sposób, gdyby Bóg mówił po węgiersku, nikt by go za Chiny nie zrozumiał,
ale czy my aby tego nie doświadczamy w związku z Bogiem? –
a mianowicie, że niczego nie słyszymy, gwiazdy są nieme,
jak mawia poeta, albo słyszymy coś takiego, jak państwo teraz,
ale rozumieć nie rozumiemy, słuchamy
zmieszani, dostarcza nam tego język węgierski ze swoim paradygmatycznym pięknem.
Teraz chwilkę pomilczę, żebym
mógł przetrwać to, co powiedziałem
(cisza).

Nie,
to przecież nie jest prawdopodobne, żeby mówił po węgiersku.
Mówi zrozumiale, tylko go nie rozumiemy.
Tutaj wspomniałbym, już nie pierwszy raz, że to właśnie Bóg we własnej osobie był tym,
kto nam pomieszał języki,
czy więc zatem nie należałoby cieszyć się z tego
postbabelskiego chaosu,
naszej coraz to na nowo ujawniającej się nieumiejętności prowadzenia dialogu?
Jednojęzyczni ludzie rozumieliby się aż zanadto,
chcieliby, siłą rzeczy, zbudować wieżę sięgającą nieba i zaoponować.
Bóg nie mówi po babelsku, ale w każdym z języków,
tak jak próbuje to robić *Finnegan's Wake* (możliwe, że to jest właśnie język babelski,
to wszystko, co jest „po prostu wszystkim na raz”).
Do tego miejsca chciałem dotrzeć przy pierwszym podejściu, tu, gdzie wspomniane
pojedynczość i wielość
muszą się ze sobą zgadzać:
osobność pisarskiego językowego fundamentalizmu i wielość literatury powszechnej.

Na poczekaniu zapytajmy nieśmiało, czy to możliwe, że Goethe wymyślił pojęcie literatury
powszechnej na własne potrzeby,
ponieważ nie jest ono skrojone na naszą miarę, nas – śmiertelników.
Może pochodzi od Heinego, w każdym razie następujący *bon mot* wygląda tak,

jakby pochodził od niego:
Żli pisarze piszą tak, jak się tego od nich oczekuje,
my – porządni, pospolici, dobrzy – piszemy, jak umiemy,
a Herr Goethe tak, jak mu się podoba.

Dotychczas myślałem, że literatura światowa to literatura świata.
Ale teraz, kiedy zmuszono mnie na kolońskim uniwersytecie, żebym

– nowy wers –
przemysłał swoje życie,
i, na poczet tego, wzięłem do ręki wielorakie mądre książki, i muszę dostrzec,
że Goetheański koncept literatury światowej
„wbrew przypuszczeniom, nie ma ambicji wytwarzania kanonu
międzynarodowych arcydzieł”,
ale jest raczej konstatacją tego,
„gdzie i w jaki sposób usiłujemy zrozumieć obce kultury”.

Goethe powiada,
że celem pełnego wigoru, dążącego do sukcesu literata było poznanie nie samego
dzieła i płynących z niego doświadczeń,
ale...

ale „poznanie samego siebie”
i „żeby przemieszczali się i wspierali na tonie społeczeństwa
dzięki swoim cięgotom i odczuciu wspólnotowego ducha”.

Tytułem dygresji,
„to nie dygresja, to dzieło samo w sobie”, mawia w naszym ulubionym zdaniu Pliniusz,
zaznaczam, młodszy Pliniusz
(*non enim excursus hic eius, sed opus ipsum est* –
wtrąca się tutaj tłumacz, György Buda¹, masz zaklepane, odpisuję mu, że to też może
przetłumaczyć),
odnotowuję więc, tytułem dygresji,
że za pierwszym razem zamiast „dążącego do sukcesu” literata [*strebende*]
przeczytałem: umierającego [*sterbende*]
i pomyślałem o tym, na jak wysokim poziomie jest to,
co wielki Goethe
wypowiada tak banalnie i pod publiczność
i zostawia furtkę między życiem i śmiercią.
W związku z tym przypomnę aktualne dla nas
autobiograficzne fakty,
ponieważ wspomniał je profesor Blamberg,

¹ György Buda przetłumaczył wykład z języka węgierskiego na język niemiecki. Jest autorem kilkunastu przekładów literatury pięknej z języka niemieckiego [przyj. tłum].

a temu przypomniał je profesor Boschung,
ze literat pojawił się już u Swetoniusza
jako ktoś „przeciętnie wykształcony”, który ma w istocie coś wspólnego
ze słowami, z pisaniem, ale
„jeśli jest związany z literaturą, to nie w sposób doskonały, ale powierzchowny”.
Gdyby można było opowiedzieć o jednym wierszu, opowiedziałbym o wierszu Dezső
Kosztolányiego:
Pieśń Kornéla Esti,
który, z dużą przesadą, jest pochwałą powierzchowności,
docierając do głębi swojej płytkości i płytkości swojej głębi,
ale przecież nie można opowiedzieć wiersza.

Usiłuję zrozumieć, kim jest w ogóle literat, którym się stałem.
Obawiam się, że muszę zmienić swoje życie.
Kiedy przyjąłem zaproszenie z Kolonii, nie myślałem, nie liczyłem się z tym.
Jako literat powinienem być pod wpływem tendencji i świadomości społecznej,
co oznacza, że natychmiast powinienem zakończyć swój wywód,
nie państwo są dla mnie partnerami,
a w dodatku, z uwagi na moją rolę Mikołaja, muszę wyzbyć się tych, ciut nonszalanckich,
nadziei,
że mógłbym państwu dostarczyć, jeśli nawet nie prezentów, to czegoś w przedziwny
sposób użytecznego.
A więc z tego powodu też powinno mnie tu nie być; żegnaj, Magnificencjo.
Ale także nie powinienem być tam, gdzie zwykłem przebywać,
nie muszę przesiadywać w swoim gabinecie, schylając się nad tekstami
albo projektowanymi tekstami,
ogólnie mówiąc: nad bielą kartek,
ale
muszę za to chadzać na wieczorki, na party dla literatów, przyjęcia, festiwale,
gdzie tak ceni się „osobową twarz współczesności”,
pisze Goethe,
bo zajęcia rodzą się „raczej wskutek podróży, niż korespondencji”
(choć Goethe wyraził to ładniej, jeśli w ogóle to wyraził).
To jest król prywatki! Imprezowe zwierzę!
(dobrze zakorzonego „lwa salonowego” [Partylöve] próbuję oddać po węgiersku,
na państwa translatorskie propozycje czekamy w redakcji,
jeśli w ogóle coś takiego jeszcze istnieje;
„Naród zawdzięcza swój byt i stałość językowi” – mówi urzędnik partyjny.
Dzień języka węgierskiego wraz z dniem poezji i dniem kultury węgierskiej
tworzą jedną całość. Od tego zaczyna się nasza praca, szczególnie młodych,
uczniaków, żebyśmy

nie zapominali o tych świętach, zajęci „głębszą treścią”, bo zmieniają się w „czczą formalność” – dodał – sam dla siebie).

Ale co się dzieje zatem, gdy ten już poznany literat jest doprawdy dobry, ale poza tym jest niemożliwym facetem?

Ma dwa nosy, troje oczu i drżymy przed nim, a na dodatek pocą mu się dłonie.

To się nie może dziać z samą literaturą,

książką, tekstem.

Ale może sam mam troje oczu i każdym z nich zezuję.

W każdym razie mówię „pa”!, teraz muszę się spotkać z Danielem Kehlmannem, on jest z pewnością literatem (a przynajmniej był nim w zeszłym roku) i ma tyle par oczu, że czuję się spokojny,

ale nie spotykam go przed publicznością, ale po spotkaniach, a nawet zamiast nich;

spotykamy się więc w cztery oczy, by żarliwie rozmawiać o Gaussie

lub to porzucić i zacząć o Jánosu Bolyaim, a ścisłej o tym przede wszystkim,

że moim zdaniem Gauss z upodobaniem mu dokuczał,

ale mogło to mieć podstawy bardziej matematyczne niż osobiste;

ponieważ Gauss nie był waśniakiem, po prostu niezbyt dobrze zrozumiał rewolucyjną myśli Bolayiego dotyczącą geometrii nieeuklidesowej.

Jak się zdaje, by zostać przy Goetheańskim literacie, zagłębiał się on w przyjacielskie i zarazem fachowe rozmowy z kolegami.

Goetheańska idea była w istocie ideą komunikacji, w mniejszym stopniu zaś – oświecenia.

Na podstawie notatek Goethego przychylam się do stwierdzenia Anny Bohnenkamp:

„Goetheańska literatura światowa nie tylko rodzi się poprzez

międzynarodową i intelektualną komunikację,

ale sama jest tą komunikacją”.

To mi się wcale nie podoba, to mi się coraz mniej podoba. Powyższy cytat przeczytałem u Dietera Lampinga, który sam traktuje to jako przesadę i twierdzi, że Goethe pod pojęciem literatury światowej rozumie teksty, „poprzez które autorzy się komunikują, tworzą dyskursy, doradzają albo właśnie takie rady wykorzystują”. Z punktu widzenia literatury pierwszą z tych możliwości uważam za mało wartościową, ostatnia jest już ciekawsza, ale nieznacznie, i do tego unikatowa jak biały kruk. Kultura festiwalu, eventów, konferencji przybiera rozmiary przemysłowe, znacznie łatwiej można pozyskać na nie ogromnie dużo pieniędzy niż na wydanie tomiku poezji. Jestem teraz tylko odrobinę demagogiczny.

W swojej afektacji porzuciłem „formę wierszowaną Nádasa”, po prostu o niej zapomniałem.

Nieważne, teraz już jest na to za późno.

Odruchowo, bez żadnych swoich przesądów, mógłbym przybliżyć (powinienem być przybliżyć) zadanie literata: rozpoznawanie, pokochanie czegoś dalekiego, odległego,

nieznanego albo bliskiego, ponowne poznawanie, odkrywanie, ogólnie mówiąc: utrzymywanie wszystkiego w ruchu.

To właśnie uczynił w minionym roku literat, przyjrzał się mistrzowskiej powieści kolumbijskiej swoim austriackim, niemieckim, europejskim, Kehlmannowskim okiem; nie powiem, żebym się czegoś od niego nauczył, nie przedstawił też *Stu lat samotności* w nowym świetle, co byłoby zupełnie nieprawdopodobne, mówiąc wprost, zrobił coś ważniejszego: nabrałem ochoty, by jeszcze raz przeczytać tę książkę.

Otóż jak się okazuje, Goetheańskie prateksty nie mają wiele wspólnego z powyższym zadaniem. Traktując w zamian o tym, co my, pisarze, pojmujemy dzięki innym pisarzom i w jaki sposób z nich czerpiemy. Jak mówi o tym Goethe, w literaturze światowej i byciu literatem, szczególnie, co nie jest żadnym zaskoczeniem ani rarytasem, objawia się snobizm. Tylko że egoizm Goethego też jest w swojej istocie Goetheański. Goetheańskie ego jest niczym cały świat i dlatego musimy dochodzić, co jest czym w jego twórczości. Łatwiej i bardziej akuratanie byłoby ujawnić swoje zakłopotanie, zamiast przesuwając wszystko w kierunku horyzontu krytyki. Należy to rozumieć tak jak egoizm – gdy Goethe coś zrozumiał, natychmiast przekraczał podniecającą małostkowość osobowości.

Jak zatem rysuje się kosmiczny egoizm? Nie chodzi tu o zagarnianie pod siebie ani o udostępnianie, nie jest to też Import-Export-Kultur-GmbH; musimy do tego podejść umiejętnie: uczyć się – formy, odruchów. Osiołek i baranek poszli w świat². Johann i Wolfgang. Patrz: *Dywan Zachodu i Wschodu*.

To rozumiem. Wszystko to czerpie swoją siłę nie z rozmawiania, ale z tekstów. Z czytania.

Pokażę, co mam na myśli. Niezależnie od tego, jak daleko doszedłem w kwestii „literata”, jakkolwiek wynikało to, jak zawsze, z zapisków Goethego, muszę wygłosić, zgodnie z moją umową, wykład traktujący o „pisarzu literatury światowej” (naturalnie jeśli ta literatura nie ma swojego autora, to znaczy, jeśli mamy do czynienia ze zbiorem pustym pisarzy, prelegent może wykorzystać coś z szerszego kontekstu, ale wspominam o tym jedynie w nawiasie). Jestem tym, kto (cytuje): „wychodzi od tego, co własne, udomowione ku temu, co obce, zamiast tylko tłumaczyć obcość tym, co własne”.

W świetle kolońskiego wykładu (a właściwie pod jego ciężarem) moja własność też jest rodzajem obcości, przechodzę z obcości do obcości i jest to prawdą nawet wówczas, gdy zostaję w domu. Powiększmy bardziej naszą niepewność, już nawet tylko z tego powodu, że mnie głównie interesuje niepewność właśnie. O kim wszak będę mówił (albo o kim tak zawile mówiłem)?

Według podtytułu tego wystąpienia, będzie mowa o Danilo Kiżu. A może nawet o Dezső Kosztolányim? To o kim w końcu? O Kiżu czy Kosztolányim, czy o Kiżu i Kosztolányim, i kiedy tak mówię, że o Kiżu lub Kosztolányim albo o Kiżu i o Kosztolányim,

² Odwołanie do filmu rysunkowego przedstawiającego losy obu zwierząt. W wersji węgierskiej niniejszego tekstu nie jest zachowana forma rymowana, którą pisarz odczytał podczas wykładu w Kolonii. W niemieckiej wersji brzmiała ona tak: „Johann Wolfgang klein ging allein in die weite Welt hinein”. Zob. *Literatur 2011. Dozentur für Literatur Péter Esterházy*, „Morphomata Lectures Cologne”, München 2013, s. 32 [przyp. tłum.].

używam konstrukcji zaczerpniętej z *Wycinki*³ Thomasa Bernharda, mam to w uszach, dlatego też tego używam, poznaję, pokochałem, nauczyłem się od samego siebie, nawet nie jestem pewien, czy sam na to nie wpadłem – „cały naród tego kraju uciekł się do kłamstwa. Kto mówi prawdę, ten od razu zasługuje na karę i od razu staje się śmieszny, tłum i sądy decydują o tym, kogo należy ukarać bądź kogo należy ośmieszyć, czy też i ukarać, i ośmieszyć. Jeżeli tego, kto mówi prawdę, nie można ukarać, należy go ośmieszyć, jeżeli nie można go ośmieszyć, należy postarać się, aby zasługiwał na karę, należy coś uczynić, by móc go ukarać; ośmieszyć albo ukarać można bowiem w tym kraju każdego, kto mówi prawdę. Ponieważ jednak mało kto chce stać się godnym ośmieszenia czy kary...”⁴

– chętnie i często cytuję ten niezmiennie aktualny *passus*, w kwestii krytyki ojczyzny i narodowego niezadowolenia nie ma niczego lepszego niż Bernhard; u mnie w kraju funkcjonuje to tak, *mutatis mutandis*, jak w scenach pościgu w niemych filmach, gdy uciekinierzy jadą po szynach tramwajowych i jadą po nich tak długo, aż szczęśliwie znajdą drogę ucieczki; ja też stale daję się nieść dygresji, teraz na przykład dopuszczam się poważnego nadużycia, bo nie wspominam biednego Pliniusza, ale wrócę jeszcze do niego.

Czy zatem on, Bernhard, jest dla mnie literatem? Osobiście ledwie go znam, spotkałem go raz w życiu, ściślej mówiąc, byłem w tym samym pomieszczeniu, co on – w dawnym Residenz Verlag Jochena Junga (to taki rodzaj przydawki jak w przypadku dawnej postaci pisma „Mozg Világ”), byłem zdziwiony, jak miłym okazał się dyskutantem; w jego książkach naprawdę brakuje tej uprzejmości, a właściwie nie brakuje, po prostu jej nie ma, chociaż uważam, z pewnego dystansu, że jego uprzejmość miała w sobie coś z kobry, *langue d’aspic*...

Czy literat i anegdota łączą się zgodnie za rączkę niczym Goethe i Schiller?

Wielokrotnie opowiadałem o moim spotkaniu z Kišem, opisałem je i to przeczy temu, od czego teraz zacznę: czy mianowicie nie jest nieuchronnie redundantny Goetheański „Imperatyw Literatury Światowej”, to komunikacyjne „coś”? Czy rozmawiali już Państwo z kimś, kto usilnie wymijał redundancję? Z kimś, kto skłonny był stawiać jedynie pytania ważne, istotne, egzystencjalne. Znam jednego, nie będę mówił jego nazwiska, to ważny artysta, Państwo też go znają – ale wspólna kolacja i jakaś przyjacielska rozmowa to koszt sam w sobie. Tylko takie zdania go zadowolą, których wymówienie jest konieczne. Ale gdy poproszę: przysuń mi bliżej solniczkę – czuję, że zdradziłem całą kulturę europejską, aż do samych chrześcijańsko-żydowskich korzeni i że nie jestem w swej banalności wart nawet jednego partykularnego słowa. Ale przysuwa mi sól, bo mnie lubi.

³ W rzeczywistości źródłem inspiracji jest cytata z powieści *Kalkwerk* Thomasa Bernharda. W wykładzie Esterházy posługuje się parafrazą tego cytatu, którą wykorzystał w swoich *Czasownikach posiłkowych serca*. Oryginalne brzmienie tekstu Bernharda: T. Bernhard, *Kalkwerk*, tłum. E. Dyczek i M. F. Nowak, postłowie K. Franczak, Łódź 2010, s. 101–102 [przyp. tłum.].

⁴ P. Esterházy, *Wozacy. Czasowniki posiłkowe serca*, tłum. E. Sobolewska, Warszawa 1998. W książce tej, na wzór powieści postmodernistycznych, nie ma numeracji stron [przyp. tłum.].

Moje spotkanie z Danilo stało się także częścią powieści (zrobiłem z niego powieść; łaskawość twórczenia! jeszcze będzie o tym mowa), co prawda trudno jest powiedzieć, kto jest w niej tym „ja”, ale teraz nie będę sobie zaprzętał głowy kwestiami w stylu: „Madame Bovary c’est moi”.

O tytułowej dla mojej powieści hrabinie Hahn-Hahn pisze Heine, posługując się *langue d’aspic*, twierdząc, że pisarki wyglądają tak: jednym okiem patrzą w papier, a drugim na mężczyznę; z wyjątkiem samej hrabiny Hanh-Hahn, która ma jedno oko. W mojej powieści potrzebowałem tego drugiego oka, tego imaginacyjnego oka, z imaginacyjnym spojrzeniem – i tak się stało, mam nadzieję, dzięki spojrzeniu na powieść (czytelników czasopisma „Jelenkor” odsyłamy do lektury *Okiem hrabiny Hahn-Hahn*).

Tegoroczny literat przybył z tak zwanego małego kraju, w którym używa się rzadko spotykanego języka. Ten język oczywiście nie jest mniejszy niż duży język, po prostu mniej osób się nim posługuje. Wynika z tego też, że mniej osób w nim czyta, a z tego wynikają dalsze konsekwencje (włącznie ze stanem konta bankowego pisarza); wszystko to jawi się jako bagatela w porównaniu do tego, co znaczy mniejszość w kontekście postrzegania świata. Człowiek małego kraju i rzadkiego języka, kiedy wyrusza z tej swojej maleńkości, bez względu na to, w którą skieruje się stronę, najpóźniej po 300 km jest już na obczyźnie. Wysiada z pociągu, wita się: dzień dobry, *guten Tag*, i za diabła nie rozumie odpowiedzi. Właściwie mógł się nauczyć języków, ale to nie jest zrozumiałe samo przez się, jego język ojczysty nie jest ani słowiański, ani nawet indogermański, ale ugrofiński, a Finlandia jest daleko stąd i nawet gdyby była bliżej, nie poprawiłoby to sytuacji.

Z tego wszystkiego wyciąga wniosek, że świat jest mniej lub bardziej obcy. Ten wniosek jest tyle prawidłowy, ile trywialny, a jednak użytkownicy dużych języków z trudem do tego dochodzą – jest to istotny wkład literatury środkowoeuropejskiej.

Przy okazji wspomnę, że źródło tego zjawiska tkwi także w prowincjonalizmie. Jego sedno nie oznacza braku wykształcenia albo nieświadomości etc., jest nim strach, strach przed tym, czego nie znamy i na tej płaszczyźnie ciągle rośnie, jest to strach przed obcością, której nie znamy, bo nie wiemy, czego chce, co je i kiedy klęka, z czego się śmieje i dlaczego płacze (i dlatego w toku naszego wielkiego pragnienia zrozumienia istoty tolerancji, w jej praktykowaniu nie zapominajmy, jak prowincjonalizm opisał Kiś: „głupota półanalfabetów, stagnacja, blokada umysłowa i duchowa jako podstawa narodowej nienawiści, nacjonalizm, nowobogactwo, pragnienie wyrwania się, banalność, złośliwość”). Wielkie narody nie są wolne od ograniczeń płynących z prowincjonalizmu, ale to z kolei trudniej jest rozpoznać, ponieważ prowincja jest większa i bogatsza.

Słowem: co i kto robi dla wspólnoty? Do czego jest zdolny? Ja, w przeciwieństwie do Goetheańskiego literata, zawsze poprzestaję na książkach – które w przypadku wielkich księzek bez wyjątku pokazują nam to, na co bez nich nie zwrócilibyśmy uwagi.

W związku z tym, na myśl o żywym literacie, przychodzi mi do głowy Imre Kertész: istnieje w świecie męka, pewien rodzaj bycia skazanym na łaskę, które możemy dostrzec

tylko dzięki niemu. Zawdzięczam mu jedno z największych i zdecydowanie najpiękniejszych przeżyć, które jest dowodem na to, jak dobra może być literatura. Gdybym nie przeczytał jego *Protokołu*, nie zwróciłbym uwagi, że coś mi się przydarzyło w pociągu, na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy węgierski celnik w Wiedniu nieuprzejmie zadreślał mnie pytaniami. Wzruszyłem ramionami, puśćmy to w zapomnienie. Dzięki Kertészowi, czy raczej dzięki jego utworom, spojrzenie pisarza stało się moim spojrzeniem, jego wrażliwość stworzyła moją wrażliwość i mogłem spojrzeć na moje własne skazanie na łaskę, na moją nieostosowność (patrz: wzruszenie ramion), a nawet może na moje cierpienie, którego w taki sposób nie postrzegałem. Z tego przeżycia, a mówię to bez przesady, z tego wstrząsu zrodziła się później nasza wspólna książka, *Pewna historia* (dwie opowiesci).

Zgodnie z podtytułem mam mówić o Danilo Kišu, z wewnątrztekstowych wskazówek wynika, że o Kišu albo Kosztolányim czy też i o Kišu i o Kosztolányim – a konkretniej: o Kértészie. Może litera K (K jak Koethe) jest tutaj spoiwem.

Jak już wspomniano, pociąg „rzadkiego języka” mknie na południe i za chwilę będziemy na terenie Danilo Kiša, który to teren jest też miejscem Kosztolányiego (oczywiście bez szczególnego wskazywania na któregoś z nich), obaj urodzili się w Szabadce, która jest teraz Suboticą, należącą do Serbii, a wcześniej przez długi czas należała do Jugosławii, a jeszcze wcześniej do Węgier – w ten sposób jeszcze do dzisiaj nie jest pewne, czy wysiadłszy z pociągu nie zrozumiemy jednak, co mówią, i czy napotkamy tę „obcość”. W tej okolicy nawet niepewność nie jest pewna.

Przypadkowość wspólnego miejsca urodzenia nie buduje mostów pomiędzy tymi dwoma autorami. Chyba że – z trudem pokonując skromność – sam się stanę ich mostem. Znam cudowne konstrukcje mostów, słysząc o nich człowiek od razu pragnie być mostem; niechże wspomnę jedynie najważniejszy most: prosty, osobno zakotwiczony, osadzony sam w sobie, a potem most kablowy, most-harfę, ukośny, gwiazdno-kablowy, wachlujący się, przęsłowy most-harfę (patrz: nieme filmy a zakręcanie na szynach plus *Pewną kobietę*).

By wycisnąć z cytryny mojej niedoli ostatnią kroplę goryczy, powiem: w moim przypadku twórczość Kiša i Kosztolányiego funkcjonuje tak jak poemat perskiego Hafiza w cyklu *Dywan Zachodu i Wschodu*.

Kiś – niechże do cna wykorzystam okazję – sam w sobie jest już literacki: rodząc się we wspomnianej Szabadce czy też Suboticy, był z całym dobrodziejstwem pogranicznego inwentarza: jedną nogą na zewnątrz, drugą w środku, czasami te nogi zamieniając: zewnątrz stawało się wewnątrz, wewnątrz zewnątrz, język, podwójność historycznego pochodzenia, niekiedy nawet jego potrójność, doświadczenie naturalnego codziennego bogactwa i pustki. Pisze tak: „W losie pisarza nic nie jest przypadkowe, nawet to, gdzie się urodził” (gdybym coś miał do tego dodać to, że czasami przyczyny i skutki zamieniają się miejscami). Tutejsze doświadczenie mówi bowiem: nie tylko świat jest obcy, ty też jesteś obcy, wszędzie. W Europie Środkowej w ciągu jednej chwili można stać się obcym. Mówiąc metaforycznie: każdy jest potencjalnym Żydem. Kiś był Żydem

na Węgrzech, w Montenegro Węgrem, w Paryżu z kolei Serbem, kimś „jugostowiańskim” (on sam lubił mówić o sobie, że jest Jugosłowianinem. Nie była to polityka, ale poetycka kreacja).

Łaska narodzin nie jest jeszcze wystarczająca do tego, by być literatem, trzeba, jak mawia Kiś, łaski uformowania? (Przypomnijmy:) Czesław Miłosz powiedział coś takiego o różnicy pomiędzy zachodnim i wschodnim rozumieniem inteligencji, czytam w *Dzienniku Gombrowicza*, że pierwszych jeszcze nie kopnięto w tyłek, w przeciwieństwie do tych drugich. W sensie tego aforyzmu tkwi nasze zwycięstwo (w tym ukrytym zwycięstwie, co śledzimy w *Dzienniku*, należy dostrzec nasze wartości, siłę i inność), ponieważ my, żyjąc w zbrutalizowanej kulturze, żyjemy bliżej samego życia. Ale Miłosz oczywiście sam zna granice tej prawdy – i byłoby to żałosne – gdyby nasz prestiż wynikał wyłącznie z tej pobitej części ciała, bo pobita część ciała nie jest częścią ciała w normalnym stanie, a filozofia, literatura i sztuka powinny być na użytek tych, którym nie wybito zębów, których nie zbito na kwaśne jabłko ani którym nie zwichnięto szczęki. Jakie ciało, taka dusza. Ponieważ zdarza się, że wygody cielesne wzmagają ostrość widzenia i za zacisznymi firankami, w dusznym pokoju burzują rodzi się surowość, o jakiej nie śniło się tym, którzy z butelkami rzucali się na tanki. A zatem nasza kultura zbrutalizowana przydałaby się tylko wówczas, gdyby stała się czymś przetrawionym, nową postacią prawdziwej kultury, przemyślanym i zorganizowanym wkładem naszym w ducha uniwersalnego. Pytanie: czy jesteśmy do tego zdolni, czy nasza literatura jest zdolna do tego, by chociaż w części spełnić ten program?

Wszystko to napisał w swoim małym pokoju Gombrowicz, ale musi już kończyć, bo w pensjonacie Las Delicias czeka na niego kolacja. Żegnaj więc chwilowo, mój dzienniczku, wierny psie mej duszy, ale nie wyj – pan twój wprawdzie oddał się, ale powróci. Z czego wnioskujemy, że Gombrowicz był naprawdę mądrym jegomościem.

Gdybym miał teraz powiedzieć coś o jednej książce wybranego autora (przez co zaprzepaszczę swoją pozycję), byłaby to *Encyklopedia umarłych* Kiśa. Kiś cytuje chętnie zdanie z Nabokova, które mogłoby być nawet mottem jego książki: „Nigdy nie rozumiałem, jak się wymyśla książki, które w ten czy inny sposób nie wydarzyły się w rzeczywistości”. Myślę, że to klasyczny dylemat twórczości Kiśa: jedność etyki i estetyki, czy raczej ich rozpad. Ze mną też rozmawiał o życiu i formie tam, w Portugalii (skąd powinien był przybyć do mojej książki Kornél Esti, bohater Kosztolányiego, by mówić po portugalsku „w języku kwiatów”).

Kiś jest radykalny, ale nie jest rozmiłowany we własnym radykalizmie, jest radykalny przezornie – i jest to niemal znak sprzeciwu (co z punktu widzenia logiki byłoby zrozumiałe, gdyby można było powiedzieć, że ktoś jest niemal w ciąży. Troszkę w ciąży. Odrobinę). Viktoria Radics pisze w swojej pięknej monografii o Kiśu: „Kiśa bardzo cieszy oddalenie od konwencji literackich i rozumie on, że literatura modernistyczna utraciła maskaradę *fabuły*, że zniknęli bohaterzy w tradycyjnym rozumieniu tego słowa i tak zwany realizm psychologiczny, aż do punktu, w którym *pozostaje tylko sedno rzeczy*.”

W tym miejscu Kiš się waha. Rewolucja udała się zbyt dobrze: na końcu forma musi się oddzielić od (ludzkiej) treści. (...) Czy nie byłoby ciekawiej podjąć ryzyko konwencji, wznieść się do poziomu chwiejnego, niezrozumiałego i pustego?”.

„Szanuję wszystkie przygody ducha – pisze Kiš – wszystkie porywy rozumu i serca i żywię szczerzy szacunek wobec tych, którzy są czuli na wymowę frazy: »Baronowa wyjechała konno o piątą«, bo jestem głęboko przekonany, że we frazie tej mieści się tyle sztuki i życia, ile w niepojętym chrześcicie piasku, który ściera się ze stopą człowieka. (...). Jestem zagorzałym zwolennikiem porywów przeciwnych konwencji, ale tracę pewność na granicy bełkotu i wtedy, gdy muszę rozpocząć powieść zdaniem: »O poranku odnalazłem ślady ludzkich stóp na piasku«”.

Poruszamy się od cytatu do cytatu i nie czynimy tego przypadkowo.

Nie sądzę, by stwierdzenie, że powyższy dylemat Kiša jest moim dylematem, mogło być nadinterpretacją. Ta podwójność ujawniła się we *Wprowadzeniu do literatury pięknej* w dacie powstania utworu, 1 ó czerwca. Ponieważ z jednej strony jest to, oczywiście, Bloomsday, dzień, w którym rozgrywa się powieść Joyce’a i, mówiąc z odrobiną przesady, każda inna powieść; z drugiej strony zaś jest to dzień stracenia Imre Nagya. Takie są węgierskie związki intertekstualne, wysmakowane europejskie zbieżności i ohydne lokalne rozrachunki. Słowo i krew należą do siebie, gdyby miano mnie przypisać do czegoś, to zaręczam, że przypisałbym się słowu.

Encyklopedia umartych wiele ma do powiedzenia w kwestii tej przynależności.

Jednym z obowiązków literata jest opowiedzenie jakiejś anegdoty o Kišu, ale nie ma na to czasu. Ale krótki passus nam nie zaszkodzi. (Bywał tam i tu. Opowiedziałem o moim spotkaniu z Esterhárowskimi pismami Kiša, z nowelą *Zaszczytnie jest umierać za ojczyznę*).

Nie sądzę, by było przesadą stwierdzenie, że z tej noweli wyrosło później 800 stron *Harmonii caelestis*. Dobrze byłoby mu to pokazać, myślę, że ucieszyłby się, nie znałem wielu ludzi bardziej wspaniałomyślnych niż on, ale to już niemożliwe, bo nie żyje. Powiedziałbym egoistycznie i szumnie, że kiedy umarł, zacząłem pisać *Harmonię*... Tak przenosi się literatura: z ojca na syna. Ważne, że mogłem to zobaczyć, w jaki sposób z zagubionego ojca zrobił ojca żywego. Ojcowie to zawsze ojcowie, którzy zniknęli, nawet wtedy, gdy jeszcze są. Idąc w ślad za ojcem, który zniknął, oczywiście, prędzej czy później potkniemy się o Prousta. Lub: *Cherchez le papa*. Brakujący ojciec to wyjątkowa możliwość dla powieściowego bohatera: brak jako możliwość bytu. W mojej powieści podsumować można to następująco: „Jaka jest różnica pomiędzy ojczulkiem a Bogiem? Różnica jest dobrze widoczna: Bóg jest wszędzie, inaczej niż ojczulek, który też jest wszędzie, tylko nie tu”.

Nic jako możliwość pięknienia. Wymuskany ojczulek, utrefiona matka, wypiękniony ja, śliczniutki świat: bez fryzowania nic by nie zostało. Coś jest prawdziwsze niż nic.

Nie będę już mówił o Kosztolányim, chociaż byłoby to w moim interesie. Może powinienem być mniej prawić o Nádasi, może Nádás był zbyteczny... Hafizowa rola Kosztolányiego, jego literackość, jeszcze lepiej widoczna moja literackość.

Mówiąc mniej precyzyjnie, ale za to bardziej zrozumiale: dopisałem ciąg dalszy historii Kornéla Esti i, z czego zdaję sobie sprawę: czterdzieści lat pracy – stwierdzam to teraz, w Köln – i dwie godziny rozmowy z Danilo Kišem nauczyły mnie, że forma ma swoje poważne konsekwencje i chociaż jest to zaskakujące, sama w sobie jest faktem; to że w tekście nie pojawia się dowolne imię (dowolne Ja), ale imię Kornéla Esti – co ukierunkowuje tekst, żeby nie powiedzieć jego akcję, w różne strony. Przyjdzie mi tylko patrzeć na własne ręce, dokąd prowadzi je Kosztolányi.

Wydaje mi się, że na sam koniec udało mi się z tego wybrnąć, postawiłem siebie między młotem i kowadłem, z jednej strony nie przeanalizowałem głównego tematu, ale za to coś do niego dodałem, z drugiej strony nie reprezentowałem surowej Goetheańskiej koncepcji komunikacji (przypomnijmy, że wypadaloby wypić piwo w jakiejś wiedeńskiej gospodzie z Kehlmannem), i dlatego, zamiast wytłumaczyć, o czym jest mowa, obrazowałem to bełkotliwymi anegdotami. Chciałem raczej pokazać, w jaki sposób funkcjonuje konkretnie sam literat jako literackość (my literaci).

Powinienem być wiedzieć, że tak będzie, ponieważ tak jest zawsze: część mowy o przedmiocie sama jest przedmiotem (co dało się zauważyć już przed Heisenbergiem w Europie Wschodniej), by wtrącić tu wyrażenie z moich studiów matematycznych: wstęgi Moebiusa z łatwością pływają w butelce Kleina. Byłoby to zatem pojęcie literata „między młotem a kowadłem”, w wersji Moebius-Klein.

Magnificencjo,
jak wspominałem na początku,
na tym należałoby zakończyć.
Ale co jeszcze na początku jest zwrotem „magnificencjo”,
szacunkiem, formą, obietnicą i nadzieją,
tutaj na końcu byłoby
pustym słowem,
brzmieniem cytatu, symetrią karierowicza,
Magnificencjo.
(cisza)
To tak,
jakbym dotarł właśnie do końca.
Ale jeszcze nie, muszę jeszcze krótko, prymitywnie i, jak można to było przewidzieć
po tytule,
wskazać niespodziankę.
Zdejmuję więc maskę,
tę ostatnią też, tak zwaną prawdziwą twarz,

i wypowiadam coś, co można było wyczuć już kilka stron wcześniej:
ja nie jestem literatem.
Nie „literatem” jestem,
ale,
co można już podejrzewać,
textorem!
Textorem, z kretešem,
to mnie stworzyło
i to niekoniecznie po kądzieli
(ponieważ matczka Goethego, Catharina Elisabeth Goethe, dla bliskich *Frau Aja*:
urodziła się jako Textor).

Niech zatem ostatnie słowo należy do Danilo Kiša,
ponieważ mogłoby należeć do Dezső Kosztolányiego,
ale w kontekście Kiša (przypomnijmy sobie „słowo i krew”)
brzmi bardziej zaskakująco i dosadnie, i zmusi nas do myślenia:

Nežnije, nežnije, nežnije –
Delikatniej, delikatniej, delikatniej.



Eklibris anonimowego szlachcica francuskiego, autor nieznany, miedzioryt, około połowy XVIII w.;
zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner